

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 6 WRZEŚNIA 1930 ROKU

NR. 36

ANDRZEJ STRUG

29)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Coraz zaczepiały go kobiety nieszczęsne, wynędzniałe, bezrobotne ulicznice. Jedna przez drugą obniżały cenę, jedna przez drugą wysilały się na najbardziej świńskie obietnice. Wreszcie napadły go trzy naraz, stara, młoda i trzynastoletnia dziewczynka, pomyślał, że mogą to być matka, córka i wnuczka, prześladowały go długo i w końcu zaczęły błagać i żebrać o parę fenigów.

Melancholja opuszczonego miasta ścisnęła za serce nawet tego tajnego wroga, który raczej winien się był upajać tryumfem i radością. Zdumiewały go reklamy kinoteatrów, niesłychana rzecz — czyż w Berlinie ludzie się jeszcze bawią?

Posłuszny instrukcjom Claude nie pytał nikogo o drogę, ani policjantów, ani przechodniów. Szedł wedle wystudjowanego planu, zbaczając, licząc przecznice. Tramwaje od południa na wszystkich liniach utknęły w śniegu. Trafiały się taksówki, ale były mu one surowo wzbronione, gdyż rzekomo wszystkie szoferki — szoferów dawno już zabrakło — były agentkami policji polowej. Wreszcie zabłądził, zabrnął między fabryki i długo włókł się pod czerwonymi murami, napastowany przez przenikliwy zgrzyt maszyn, z wściekłością krających żelazo. Przegrodził mu drogę długi pociąg, wypełzający z bramy fabrycznej. Dwie lokomotywy obmarznęte, ziejące parą, wywlekały z trudem wagon za wagonem. Przesuwały się platformy naładowane kuchniami polowymi, stosami pocisków w surowym stanie, tak jak wyszły z odlewni, a dalej przeciągały obrócone dnem do góry kolosalne pontony i wynurzały się z szerokich wrotni fabrycznych jeden za drugim, jeden po drugim bez końca, jak kadłuby martwych przedpotopowych potworów.

Claude zaczął je liczyć, myśląc, czy też ów wszechwiedzący van Trothen wie już o nich. Czy wie, na jaki front pociągną? Do Ypres, czy do Tyrolu? Na równinę Siedmiu Gmin? Na Bałkany? Do Mezopotamji? Na jakiej rzece świata zbudują na nich mosty? Na Sommie, na Piave, na Maricy, na Eufracie? Może w powtórny nawrocie dziejów — na onej że Marnie, z której dawno zdążyła spłynąć krew stara z przed trzech i pół lat?

Wyszedł niespodziewanie na Dworzec Śląski. Zawieja hasała po pustej przestrzeni, lampy kołysały się na wicherze. Kilkadziesiąt samochodów, poznaczonych czerwonymi krzyżami, stało w szeregu, czekając snąc oddawna, zawiane po same osie. Ociemniały żołnierz walczył z wiatrem i macając kijem, brnął przez plac chwiejną zygzakowatą linią. Piesek, który go miał prowadzić, szedł z tyłu, kry-

jąc się za nim, ze spuszczonego łbem, z podwiniętym ogonem. Dwaj dziwacznicy w długich czarnych pelerynach, w płaskich cylinderkach na głowie, z trudem wyciągali z zasp śnieżnych dwukołowy wózek z trumną. Za nimi brnęły pochylone pod wiatr cztery kobiety.

Wreszcie Claude zaczął pytać o drogę. Jakiś starzec, ostatni oberwaniec, dźwigający przed sobą w rękach ogromną bryłę węgla, którą gdzieś dostał czy ukradł, przystanął, złożył swoje brzemie na ziemi i świszcząc spracowanym oddechem, długo nie mógł wydobyć z siebie słowa. Aż jękając się zaczął opowiadać, że taszczy węgiel aż ze stacji towarowej, że ma jeszcze ze trzy kilometry do domu, że niech zdechnie po drodze, ale izbę trzeba trochę ogrzać choćby na jeden dzień, bo Fritz przyjeżdża jutro z eskadry na urlop. Fritz nie wie jeszcze, że matka umarła przed miesiącem, a Karolcia uciekła z domu i puszcza się z żołnierzami. Niechże przynajmniej zastanie u ojca ciepło, bo inaczej tylko splunie, zabierze się i pójdzie włóczyć się po szynkach. Węgiel doskonały, prawdziwy antracyt, taki, co teraz idzie tylko dla floty...

Trudno mu było przerwać. Wreszcie na natarczywe pytania o ulicę, zażądał papierosa, zapalił i odpowiedział, że nigdy nie słyszał o takiej ulicy. Claude, przeklinając wszelkie instrukcje ostrożności, podszedł do policjanta, zatopionego w olbrzymim kożuchu pośrodku placu pod latarnią na największym wygwizdowiu, obudził go i dowiedział się, że ma stąd właśnie bardzo niedaleko. Wpadł do domu pod wiadomym numerem i długo obijał się po ciemnych schodach, dzwoniąc, stukając do różnych mieszkań, niepokojąc ludzi, oglądając na chwilę w szczelinach drzwi złe twarze i słuchając wrogich pomruków. Wreszcie ktoś mu wskazał pożądany numer mieszkania i na piątym piętrze na prawo przy świetle zapalniczki, gaszonej wciąż przez mroźny przeciąg, odczytał napis: — Centralne Biuro Towarzystwa Opieki nad ociemniałymi żołnierzami. Cofnął się, zapalił zapalniczkę — numer mieszkania był właściwy. Namyslił się. Wreszcie zaczął się wycofywać, ale zaledwie zeszedł z paru stopni, drzwi od Centralnego Biura Opieki otworzyły się bez dźwięku, buchnęło światło z wnętrza i świeży głos kobiety zapytał:

— Kto tam?

— Przepraszam, zapewne się pomyliłem, szukam mieszkania pani Sempach.

— Owszem, to tutaj, proszę.

Ogarnęło go przemiłe ciepło. Służąca, młoda dziewczyna, wprowadziła go do pokoju biurowego.

przedzielonego balustradą, odkręciła światło i znikła. Pokój jarzył się i pstrzył od żywych barw. Z błękitu rozfalowanego morza wytryskał snop ognia, unosząc czarne szczątki, na niebie tęcza, na dole napis: — Kalendarz zwycięstwa na morzu, Listopad 1917 — 600.000 tonn. — Nowiny ze Wschodu — nieskończony pokrecony wąż towarowego pociągu przewija się przez śnieżną równinę między jodłami i cebulastymi cerkiewkami, na otwartych wagonach stosy worków, ściśnięte gromady baranów, świń, beczki z napisami „masło”, „cukier”, „miód”, ogromne paki — „tytoń”, „herbata”, wreszcie „kawior”... Zeppelin nad strasznym pożarem Londynu. Klucz białych „gołąbków” z czarnymi krzyżami na skrzydłach szybuje w błękitnie nieba, w dole Paryż, sto dymów wznosi się ku górze, wszystkimi rogatkami na wszystkie strony świata ucieka czarne mrowie nieszczęśliwych mieszkańców. Olbrzymia roześmiana twarz Miszela w hełmie szczyrzy potworne zęby. Żołnierz zanosi się, pęka ze śmiechu. — Ha - ha - ha! I oni sobie myślą, że nam poradzą! Ha - ha - ha!

Weszła małeńka podstarzała kobiecina z robótką w rękę i szybko automatycznie przebiegając palcami po drutach, przyglądała się przez okulary spóźnionemu gościowi. Głos jej był słaby i wysiłony, ton wybitnie nieuprzejmy, akcent czysto berliński.

— Nasze biura oddawna zamknięte i niema nikogo.

— Czy pani Sempach?

— Jestem pani Sempach, pan do mnie w osobistej sprawie? Ja pana nie znam!

— Ale szanowna pani zna dobrze panią Schmetterling?

— Schmetterling?! Nie znam żadnej takiej!

— Więc radcę handlowego Knopfa?

— Boże jedyny! Knopfa? Skąd znowu mam znać jakiegós Knopfa?!

— Przepraszam, to jakieś nieporozumienie... Więc przychodzę od państwa Licht i już!

— I już?! Co to ma zanczyć?

— To znaczy, że przychodzę po kartki na mydło.

— Ależ ja nie mam żadnych kartek na mydło! Proszę się wynosić w tej chwili!! Pan mnie nachodzi po nocy! Pan wypłata głupstwa! Pan mnie chce łapać na jakichś kartkach! Zaraz telefonuję do policji!

Nie zważając na srogie piski, Claude spokojnie wydobył pudełko zapalek, wyjął trzy patyczki i podstawił je pod sam nos pani Sempach.

— Oto są — trzy — widzi pani — wyraźnie numer trzy! I witam panią!

— Moje uszanowanie panu, proszę do mojego mieszkania. Ale w trzecim hasle pomylił się pan fatalnie — zamiast państwa Licht powinno być...

— Ależ tak — państwo Macht, Macht szanowna pani! Przepraszam!

— Właściwie z takim błędem nie powinnam pana przyjąć, ale Bóg z panem.

— Dziękuję.

Rozmowa była niedługa. Claude wytrzymał w milczeniu wstęp o mrozie, o zawiejach, które wstrzymują pociągi i do reszty ogłodzą nieszczęsny Berlin. Ale uchylił się od pytań, skąd przybywa, gdzie się zatrzymał, czy jest Anglikiem czy Francuzem, może Włochem, jak się nazywa?

— Przybywam z księżycą, a nazywam się C. K. N. 123 i tyle, ani mniej, ani więcej.

Pani Sempach pochwaliła go za ostrożność i oznajmiła, że ona nie jest bynajmniej ciekawa takich rzeczy, ale wymagają od niej chwytania interesantów na podobnych kawałkach i donoszenia o tem

władzy wyższej dla utrzymania należytej dyscypliny. Niezwłocznie da mu następny adres, gdzie mu powiedzą, dokąd ma się dalej udać. Tam już niepotrzebne hasła i znaki, wymieni tylko swoją cyfrę.

— A na wypadek, gdyby tymczasem...

— Proszę tam być punktualnie o godzinie jedenastej rano, gdyby coś takiego, nie daj Boże, ja będę chodziła przed sąsiednim domem, dam panu znak. A jeżeli mnie tam nie będzie, to znaczy że droga wolna.

— Bardzo pięknie, ale dziś w nocy mogą sprzątać i panią i tamtego i urządzić zasadzkę.

— W takim razie i pana wezmą i powieszą.

Odpowiedź była prosta i żołnierska, Claude zmieształ się nieco. Pani Sempach ani na chwilę nie przestała obracać drutami, olbrzymia gruba skarpetka zwiisała z jej rąk. Claude był na odchodnym, powstając rzucił tak sobie:

— Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak szybko robił na drutach.

— My Niemki umiemy to nieźle. — I podnosząc do góry skarpetkę, wielką jak torba, dodała. — To dla naszych żołnierzy... I ja miałam dwóch synów na froncie, obaj polegli na polu chwały. Teraz nie mam nic i wszystko mi jedno, co się ze mną stanie. Jak się wspanię i stanę przed sądem, to powiem tym panom w same oczy, co i jak...

Claude zaciekał się niezmiernie, co też by ta Niemka mogła powiedzieć swoim sędziom. Ale ta czekała tylko, żeby się czempredziej zabrał i poszedł.

— Tak, tak — mruknął ze współczuciem.

— Pan mówi — tak, tak? Mój panie to zupełnie co innego, niż pan sobie myśli. Tylko jeżeli im wolno przez cztery lata pędzić na rzeź miliony porządnych ludzi, to w takim razie — wszystko wolno. Mogą mnie powiesić, może temu będę jeszcze rada, ale nikt mi nie dowiedzie, że mi nie wolno pomagać francuskim szpiegom i brać za to piękne pieniądze... Zresztą całe to szpiegostwo to jedna błaża. Tego co ważne nikt nie wyszpiguje za żadne miliony, a te tam różne nasze kawałki, obrywki — to nic tylko śmiecie. Co to pomoże Francuzom? Co to zaszkodzi naszym? Świat jest głupi...

Po nocy spędzonej o głodzie i o chłodzie Claude, przebywszy jeszcze trzy pośrednie etapy zakonspirowanej łączności, zmierzał ku siedzibie tajemniczego van Trothena. Zabrało mu to trzy godziny, przez ten czas na krańcach Friedrichstrasse poznał zegarmistrza Hoena, który w tyle sklepu za szafą dał mu następny adres, a dowiedziawszy się, że klient gotów w tym Berlinie skonać z głodu, wzruszył się i poczęstował go kawałem prawdziwego chleba z prawdziwym masłem. Na Pariserplatz poznał pracownię panny Emmy, malarki-kubistki, osoby pełnej uśmiechów i radości życia. Musiał z nią wypić szklaneczkę koniaku i obejrzeć horendalne obrazy, porozwieszane od góry do dołu na wszystkich czterech ścianach. Zaofiarowała się oprowadzić go wieczorem po mieście, gdyż w Berlinie i teraz można dobrze zjeść, wypić i zabawić się jak za starych dobrych czasów, bodaj nawet lepiej — trzeba tylko znać pewne adresy. Potem może przenocować u niej w życzliwej atmosferze i, co ważniejsze, w cieple. Ale na pierwszym piętrze wielkiego domu przy Steglitzerstrasse namyslał się długo, zanim zadzwonił. Na mosiężnej tabliczce stał napis: — Freiherr Adolf Buxhövdens Artillerie-Oberst. Tego już miał za dużo. Dopiero po długiej chwili dostrzegł w niezbyt widnej klatce schodowej przyczepiony na drzwiach bilecik: — Dr. phil. Lucas Wetzler. Otworzył mu żołnierz-ordynans.

(D. e. n.).

MAYERLING

18)

Zagłębił się w fotelu, przechylił głowę i przyknał powieki. Długie przemówienie, miast rozgrzać, wywołało bladłość na policzkach Rudolfa.

Doktor przyglądał mu się z niepokojem. Twarz wyciągnęła się, skóra pod oczami zapadła się i miała niebieskawy odcień — był to wynik zbyt częstego przebywania z temi „które dają zapomnienie”; żyły na skroniach nabrzmiały i czuło się w nich nieregularne tętno krwi.

Minęło kilka minut. Spał arcyksiążę? Nie, wyprostował się, spoglądał przez chwilę na doktora i ciągnął dalej:

— Powinienem zapomnieć, kim jestem, powinienem zapomnieć, że należę do tej rasy, goniącej ostatkiem sił, którą znasz dobrze, drogi doktorze. Muszę zapomnieć o niesprawiedliwości losu, zmuszającego mnie do płacenia za szaleństwa i ekscesy moich przodków podczas dwudziestu pokoleń! Muszę zapomnieć też — tu głos następcy tronu zabrzmiał głęboką nutą — że nie mam prawa do pójścia drogą osobistego szczęścia, że nie wolno mi zbaczać, ani na chwilę, z wytkniętej ścieżki... Więc też wieczorem, po dniach, jakie opisałem panu, doktorze, zabieram się do zapomnienia... Nie łatwo jest zapominać. Potrzebny czas... Dlatego też, dopiero między drugą a czwartą nad ranem wracam do tego starego zamku, w którym czyhają na mnie wszyscy moi przodkowie...

Na skutek tej wizyty doktora Wiederhofera postanowiono „w decydujących sferach”, że arcyksiążę spędzi dwa tygodnie w Abbazi nad Adriatykiem. Opuści Wiedeń nazajutrz po świętach Bożego Narodzenia. Towarzyszyć mu będą żona i córka.

III.

P O P Ł O C H

Marja usłyszała tę nowinę pewnego wieczoru w Hofburgu, z ust Rudolfa. Wymknęła się cudem z domu, około ósmej godziny, podczas gdy matka i siostra były w operze, na przedstawieniu.

Nie mogła powstrzymać łez. Rudolf wyjeżdżał na dwa tygodnie! Nigdy nie bawił tak długo poza Wiedniem! I odjeżdżał z arcyksiężną, do miejscowości odległej, odosobnionej, gdzie będzie bezczynny, pozbawiony wszelkich rozrywek i zdany tylko na towarzystwo żony; jednym słowem, drugi miesiąc miodowy! Marja nie mogła wątpić, że był to zręczny manewr cesarza, mający na celu zbliżenie małżonków...

Daremnie starał się Rudolf uspokoić Marję. Jedynie troska o zdrowie Rudolfa skłoniła starego przyjaciela, doktora Wiederhofera do zmuszenia arcyksięcia, by wyjechał na wypoczynek. A był mu tak konieczny! Zdala od Wiednia, od wszelkich zajęć związanych z jego stanowiskiem, i w ciepłym klimacie mógł wrócić do sił i pozbyć się zmęczenia. Rad był, że nie wysłano go na francuską Riwierę, lub Maderę! Jego żona? Nie mógł przecież, w podróży tak oficjalnej, zostawić jej w Wiedniu! Niemniej, zapewniał Marję, że będą mieli w hotelu dwa oddzielne apartamenty: ona z damą dworu, córką i guwernantką; on z swoim adjutantem. Całe dni spędzać będzie w żaglówce, na morzu. Żona nie znosiła wody. Poza tem zajmować się będzie swoją flotą, stojącą w sąsiednim porcie, w Poli.

Nic nie pocieszało Marji. Arcyksiążę całował ją, kołysał, przemawiał do niej, jak do małego dziecka, starał się pobudzić ją do śmiechu.

Wobec takiej słodyczy, Marja uspokoiła się wreszcie. Nigdy Rudolf nie był tak dobry dla niej. Zwykle jej misja polegała na rozweseleniu arcyksięcia, na odpychaniu trosk, czarnych myśli, które zbyt często prześladowały go. To zadanie, prawdziwie kobiece, sprawiało jej wielką przyjemność. Dzisiaj role były zamienione.

Ta smutna i czuła godzina wywarła głęboki wpływ na Rudolfa. Wydobyła z niego uczucie, tak ukryte w tajnikach serca, iż nawet nie wiedział o jego istnieniu. Widok tej młodej dziewczyny, płaczącej w jego ramionach, widok tego młodego, dziewczęcego ciała, garnącego się do niego tak ufnie, łyżki które koł, wreszcie uśmiech, który dzięki niemu zakwitł na czarownych ustach Marji, wszystko to nappełniało go nieznanem dotychczas uczuciem.

Nie potrafił ująć w słowa wrażeń swoich, nie umiał zdać sobie z nich sprawy i wypowiedzieć Marji.

Był zmuszony rozstać się wcześniej tego dnia z Marją, gdyż szedł do Opery. Lecz przez cały wieczór zastanawiał się nad swoimi nowymi przeżyciami.

Zazwyczaj nie lubił roztrząsać swoich myśli, i przykre mu były te powroty do siebie samego, gdyż wiedział z doświadczenia, że dadzą mu tylko niesmak i gorycz. Ale ten Rudolf, który obudził się pod wpływem Marji Vetsery, był człowiekiem, w którego towarzystwie czuł się doskonale. Gdzie go spotkać? W towarzystwie czarodziejki, co go powołała do życia.

Odnalazł więc Marję i przeszkody dzielące ich były doprowadzać do czarnej rozpaczki jego pragnienia: widział obok niej Rudolfa pozbawionego cynizmu, dla którego rzeczy posiadały jeszcze — zapach świeżości, wartość i cenę. Temu Rudolfowi nie było danem dotychczas żyć pełnią życia. Teraz rozkwitał. To on przyjmował Marję w Hofburgu, lub też przechadzał się z nią pospiesznie po opustoszałych alejkach Prateru; miał dla niej względy i żywił uczucia chłopca szesnastoletniego, ufność i wiarę serca nietkniętą żadnem rozczarowaniem, marzenia i nadzieje młodości, to on dawał się unosić porywom pierwszej miłości.

Ten nowy Rudolf istniał cudownym zbiegiem okoliczności tuż obok Rudolfa z dworskich uroczystości i Rudolfa od Sachera, Rudolfa, otoczonego siecią intryg politycznych i Rudolfa, bawiącego się z cyganiami. W tej chwili spojrzął w głąb siebie i zrozumiał, że nie może obyć się bez Marji.

Myśl ta, której poddał się, jeła przyjmować ogromne kształty. Wszystko jest pokarmem dla miłości. Odżywiała się zarówno obecnością, jak i nieobecnością ukochanej. Obrzydzenie, jakie odczuwał w ciągu dni, wiecznie te same przykrości i troski, wszystko to ukazywało mu w radośniejszym świetle nieliczne godziny, jakimi obdarowywała go ukochana.

Pewnego dnia — w drugiej połowie grudnia — Marja spędziła całe popołudnie w ukwieconym salo-

nie Hofburgu. Rudolf przysłuchiwał się z rozkoszą jej słowom, dźwiękowi śmiechu i sam milczał chętnie. Marja, która widziała, jak zmarszczka, przecinająca czoło następcy tronu, wyglądała się stopniowo, nie przejmowała się tem milczeniem. Lecz w tym dniu odniosła wrażenie, że jest jeszcze małomówniejszy niż zwykle i zaniepokoiła się szczerze. Nie śmiała zapytać go o przyczynę troski.

Rudolf siedział na taburecie u jej stóp. Nagle zerwał się i jął przemierzać pokój nierównymi krokami.

Zatopiony w swoich rozmyślaniach, zdawał się zapominać o obecności Marji. Wtem zdecydowanym ruchem podszedł do Marji, usiadł obok niej na kanapie, objął ją ramieniem i przytulił do siebie:

— Marjo — rzekł — muszę pomówić z tobą.

Głos Rudolfa brzmiał tak poważnie, iż Marja zdrząła.

— Zastanawiałem się bardzo długo... ciągnął.

W tym momencie wyczytał trwogę w oczach Marji, i żeby ją uspokoić, pochylił się nad nią, szepcząc:

— Nie bój się kochanie. Kocham cię i nie mogę żyć dłużej bez ciebie. To właśnie miałem ci do powiedzenia. Chcesz, ażebyśmy spróbowali ułożyć naszą przyszłość?

Marja słuchała i nie wiedziała, co myśleć o tem. Postradał rozsądek? Nasza przyszłość! A więc istniała dla nich przyszłość? Dotychczas, nie myślała o tem nigdy!

— Nie rozumiem Waszej Wysokości — rzekła.

— Nazywaj mnie po imieniu moja mała Marjo, proszę, odrzuć te wszystkie tytuły.

— Uczynię to z wielką przyjemnością — zawołała z nutą serdecznej radości — byłeś dla mnie zawsze Rudolfem. Gdybyś wiedział, ile mnie kosztowało zwracanie się do ciebie: „Wasza Wysokość”. Wydawało mi się, że mówię do kogoś, kogo nie znam. Lecz gdybyś słyszał te wszystkie czułe słowa, które Waszej... tobie mówiłam, sama w moim pokoju, znim cię jeszcze tu ujrzałam! Ach! one były przeznaczona dla Rudolfa... Początkowo, myśl o twojem stanowisku, stwarzającym przepaść między nami, była dla mnie zbyt bolesna... A teraz tykamy się, i ty mówisz o naszej przyszłości!...

Rzuciła mu się na szyję, oszalała z radości.

— Nasza przyszłość — ciągnęła Marja — czy ma to jakiś sens? Lecz to nieważne, wystarcza mi Rudolfie, że twoje drogie wargi mówią „nasza przyszłość” i nic więcej nie trzeba mi do szczęścia. Nasza przyszłość, powtórz to raz jeszcze, ażebym upewniła się, że nie zaszła żadna pomyłka.

Minęła długa chwila, zanim Rudolf mógł dojść do słowa. Marja skakała, tańczyła, rzucała mu się na szyję, całowała go, dawała mu kwiaty. Wreszcie przytuliła się do niego, i rzekła uroczyście:

— Słucham cię, mów.

Rudolf wytłomaczył jej, z pewnem zmieszaniem, że trudno było zorientować się co do przyszłości, póki jego stosunek do rządu i rodziny był niewyraźny... Lecz mogły zajść nieprzewidziane wypadki, i one to miały zmienić wszystko, w okamgnieniu. Był przecież otoczony nieprzyjaciółmi, którzy zajmowali najwyższe stanowiska w państwie. Przy lada przeziębieniu ojca, wszyscy ci ludzie leżeliby już u jego stóp. Lecz w chwili obecnej nie mógł liczyć na niczyje poparcie, niczyją pomoc! Z większością członków swojej rodziny, z osobami pozba-

wionemi uczuć i inteligencji, z osobami ograniczonymi i zarozumiałymi był w oziębłych stosunkach.

— Mój ojciec... pomówimy o nim innym razem. Moja matka, która wgłębi swojej duszy jest bliska mi, ucieka przede mną, i przed sobą samą. Błąka się często po wielkim pałacu, a wszystkie drzwi otwierają się same, gdy zbliża się do nich. Któregoś dnia, spotkałem ją przypadkowo w jednej z sal przyjęć. Gdy tylko spostrzegła mnie, przyspieszyła kroku, ażeby mi dać do poznania, że nie chce, ażebym ją zatrzymywał. Przechodząc, uczyniła mi znak wachlarzem, a jednak, kocha mnie... Wiesz, jakie wrażenie robi na mnie? Więżnia... Hofburg, Wiedeń, cała Austrija jest jej więzieniem. Oddycha wtedy tylko, gdy jest stąd daleko. Pragnęłaby uciec i nigdy nie wrócić... Ja również jestem więzieniem, moja Marjo...

Zamilkł na chwilę, a następnie, pochylając się nad młodą dziewczyną, szepnął jej cichutko na ucho, jakby w obawie, że słowa jego przebiją grube mury zamczyska:

— I ja odejdę stąd, któregoś dnia... a ty pójdziesz za mną.

Marja słuchała z przerażeniem. Głos Rudolfa brzmiał tajemniczo. Odejść! Pójdzie za każdym skinieniem. Odejdzie z nim bez wahania. Lecz w jaki sposób opuści Wiedeń i Austrię? Taka rzecz wydawała się niemożliwą. A jednak musiał mieć możliwość po temu, skoro mówił tak. Nie śmiała wierzyć, lecz na myśl, że złączy ich ten sam los, serce jej biło z całych sił. Gdzie będą? Wszystko jedno! byleby tylko byli razem. Nie śmiała go pytać, chociaż pragnęła dowiedzieć się więcej.

Innego dnia, w Praterze — powrócił właśnie z Monachjum — oznajmił, że nie będzie żył nadal z żoną. Być może w chwili gniewu wykona groźbę, którą szafowała tak często, opuści Wiedeń i wróci do Belgji. W głębi duszy Rudolf nie wierzył w to.

— Nie odjedzie! Wie dobrze, że temi groźbami doprowadza mnie do rozpacz. Oto wszystko!

Lecz on sam miał śmiałą myśl. Poprosił papieża o anulowanie małżeństwa. Poda, jako motyw, że żona nie może dać dziedzica koronie. Od czasu urodzenia córki nie miała więcej dzieci. A jednak, żył z nią cztery lata po urodzeniu malutkiej. Ciężki poród wywołał w następstwach — bezpłodność. Był to bardzo ważny powód i niezawodnie papież uwzględni go i unieważni małżeństwo. Na ten temat Rudolf rozwodził się bardzo długo, następnie czynił wywody polityczne, niezbyt dla Marji zrozumiałe. Było jasne, że po zerwaniu związków małżeńskich Rudolf ożeni się morganatycznie z swoją ukochaną Marją.

— Będę wolny, i nigdy nie będziemy się już rozstawać z sobą.

Albo też, zapominając o papieżu, snuł najpiękniejsze plany i widział przed nimi świetlaną przyszłość.

— Ludzie, którzy mnie otaczają, są przekonani, że mi zależy na władzy. Mylą się. Byliby szczęśliwi, gdyby wiedzieli, w jakim stopniu zniechęcili mnie do niej, i jakie obrzydzenie wzbudzili we mnie. Ile intryg! ile zdrad! I tyle fałszywych twarzy, na które muszę spoglądać dzień w dzień! Być kiedyś wolnym człowiekiem! Wolnym, jak będzie kiedyś kuzyn mój arcyksiążę Jan! Pędzić daleko stąd życie wolne i niezależne. Nie sądź kochanie, że jest to niemożliwe! Być może, wystarcza chcieć...

(D. c. n.).